GOSPODARKA · OPINIA

CO Z TYM €URO?

Rafał Łętocha · 3 sierpnia 2021



Obiegowo uznaje się, że każda osoba sceptycznie podchodząca do rozszerzania zasięgu wspólnej waluty europejskiej posiada poglądy euro-, a raczej uniosceptyczne. Tego rodzaju automatyzm asocjacyjny powoduje, iż ktokolwiek śmiałby podważać zasadność wprowadzenia w naszym kraju euro, dość szybko zyska miano eurosceptyka chcącego poprowadzić go drogą, która wyznaczona została przez Białoruś.

Generalnie rzecz biorąc, wspólna europejska waluta stała się projektem, który przedstawiany jest jako szczytowe osiągnięcie europejskiej integracji, instrument kształtowania i wzmacniania tzw. tożsamości europejskiej, za sprawą którego procesy zjednoczeniowe w Europie nabrały jeszcze większego rozmachu i przyspieszenia. Zwłaszcza w środowiskach euroentuzjastycznych wskazuje się ją jako przedmiot pożądania wszystkich krajów, które znajdują się obecnie poza strefą euro, staje się ona wręcz papierkiem lakmusowym pozwalającym stwierdzić poziom rozwoju danego państwa i jego dostosowania do standardów unijnych.

Polska a euro

Począwszy od 1 maja 2004 r. Polska jest członkiem UE, kolejny etap integracji w ramach Wspólnoty stanowić miało członkostwo w Unii Gospodarczo-Walutowej, do którego nasz kraj zobowiązał się już na etapie negocjacji w sprawie przystąpienia do UE. Jak zakładano, przyjęcie jednolitej waluty przez Polskę miało nastąpić w momencie, kiedy gospodarka będzie spełniać makroekonomiczne wymogi członkostwa

w UGW. W 2008 r. podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy Donald Tusk wyrażał przekonanie, że dojdzie do tego już w 2011 r. Wspomniane wymogi, ustanowione pod presją Niemiec, miały na celu zapewnienie ochrony gospodarki strefy euro, poprzez dopuszczenie do uczestnictwa w niej tylko tych krajów, które charakteryzują się odpowiednio dobrą sytuacją gospodarczą. Oceniane jest to na podstawie takich kryteriów jak: stopa inflacji, która nie powinna być wyższa o więcej niż 1,5 punktu procentowego od średniej inflacji w 3 krajach o najniższym jej wskaźniku; stan deficytu budżetowego, którego wartość nie powinna być wyższa niż 3 procent PKB danego kraju; zadłużenie państwa, nie powinno przekroczyć 60% jego PKB; długoterminowa stopa procentowa, najlepiej, aby stawka nie była wyższa o więcej niż 2 punkty procentowe od przeciętnej wysokości stóp procentowych w trzech krajach o największej stabilności cenowej; formalne uczestnictwo w ERM II (*European*) *Exchange Rate Mechanism,* tutaj w ciągu 2 lat przed przystąpieniem do UGW waluta danego państwa musi być stabilna, tzn. jej wahania nie mogą wykraczać poza przyjęte ramy.

Pomimo tych zobowiązań i deklaracji nasz kraj aż do dziś nie przystąpił do UGW, można się zastanawiać, czy to dobrze, czy źle? Dla autorów listu otwartego do premiera Mateusza Morawieckiego, który ukazał się na łamach „Rzeczpospolitej" 2 stycznia 2018 r. (m.in. Marek Belka, Henryka Bochniarz, Marek Goliszewski, Stanisław Gomułka, Jerzy Hausner, Wiesław Rozłucki, Witold M. Orłowski) nie ulega wątpliwości, iż jest to niezwykle niekorzystne. Stwierdzali oni apodyktycznie, iż mamy do czynienia z dysjunkcją euro albo Rosja. Zasadniczo jednak nie pokrywa się to z nastrojami społecznymi panującymi w naszym kraju. Sondaże przeprowadzone przez Centrum Badania Opinii Społecznej pokazują, że od lat mamy do czynienia z systematycznym spadkiem poparcia rodaków dla wprowadzenia euro w Polsce. Poziom aprobaty dla zastąpienia złotego wspólną walutą europejską osiągnął swoje maksimum w 2002 r., wynosząc 64%. W następnych latach akceptacja dla uczestnictwa Polski w UGW spadała. W latach 2007–2008 odsetek zwolenników i przeciwników pozostawał na zbliżonym poziomie, w badaniu przeprowadzonym w kwietniu 2015 r. za euro w Polsce opowiadało się już tylko 25% ankietowanych (czemu jednak nie towarzyszyła zmiana poglądu co do zasadności obecności Polski w UE). Ostatnie wyniki badań pokazują, iż trend ten się utrzymuje. Jedynie co czwarty Polak (25,2%) uważa, że Polska powinna przyjąć unijną walutę, a ponad połowa (53%) jest przeciwnego zdania, wynika z badania UCE Research przeprowadzonego na zlecenie portalu money.pl w czerwcu 2021 r. Natomiast wejścia Polski do strefy euro życzyłoby sobie tylko 42% średnich i dużych firm. To znów wyniki badania przeprowadzonego na zlecenie Grant Thornton w 2020 r., dla porównania w 2010 roku aż 85% średnich i dużych firm w Polsce deklarowało, że chciałoby, aby Polska przyjęła euro.

Projekt polityczny

Trzeba jasno powiedzieć, że wprowadzenie euro było od początku projektem bardziej politycznym niż ekonomicznym, wygenerowało jednak całą masę problemów ekonomicznych, które przełożyły się zwrotnie na perturbacje polityczne. W zamierzeniu stanowić miało ono symbol jedności i tożsamości europejskiej, najbardziej namacalny dowód integracji dokonującej się na naszym kontynencie (ponad 330 milionów mieszkańców używających euro jako codziennego środka płatniczego, 19 na 28 państw w UE uczestniczących w UGW).

> Zdaniem amerykańskiego noblisty w dziedzinie ekonomii Josepha E. Stiglitza był to nawet projekt nie tyle polityczny, co wręcz ideologiczny. Za jego sprawą miało dojść do pogłębienia pro-

> cesu integracji na kontynencie, która wydawała się niedostateczna. Jego zdaniem, czemu daje wyraz na łamach swojej książki *Euro. W jaki sposób wspólna waluta zagraża przyszłości Europy*, dziś możemy powiedzieć, że działania w tym kierunku okazały się kontrefektywne. Trzeba tutaj pamiętać, iż cały projekt unii monetarnej powstawał w czasach wielkiego optymizmu i dominacji myślenia w kategoriach neoliberalizmu czy rynkowego fundamentalizmu, wedle którego polityka gospodarcza rządu winna ograniczać się tylko do utrzymywania na niskim poziomie inflacji, a wówczas rynki same zapewnią wzrost i powszechny dobrobyt.

Do dziś zresztą wyraźnie to nad nim ciąży. Euro rzecz jasna miało też inną polityczną rolę, antyamerykańską. Ówczesnego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla i prezydenta Francji Françoisa Mitteranda bez wątpienia łączyła niechęć do hegemonii amerykańskiej w świecie. Wraz z likwidacją ZSRR amerykańska obecność wojskowa w Europie wydawała się zbędna, a monopol drukowania dolara, jako rezerwowej waluty świata, zaczynał coraz mocniej uwierać, przeszkadzać w rywalizacji gospodarczej. Ich plan, w związku z tym, przewidywał stworzenie euroarmii (pomysł dość szybko upadł) zastępującej stopniowo siły amerykańskie na Starym Kontynencie i właśnie wspólnej waluty zajmującej miejsce dolara w wymianie międzynarodowej.

€urosceptycyzm w imię europejskiej integracji

Ostatnie badania Eurobarometru wśród mieszkańców eurostrefy wskazują, iż 76% respondentów uważa, że wspólna waluta jest dobra dla UE. Poparcie to jest najwyższe od czasu wprowadzenia euro w 2002. Argumenty, którymi posiłkowali się badani, można jednak sprowadzić głównie do wygody, faktu, iż rzekomo wspólna waluta ułatwia życie: prowadzenie działalności gospodarczej ponad granicami, porównywanie cen, robienie zakupów w innych krajach, podróżowanie itp. Jednakowoż dziś, gdy większość transakcji odbywa się drogą elektroniczną przy pomocy kard kredytowych, argumenty tego rodzaju nie wydają się posiadać zbytniej wagi. Równocześnie jednak, przynajmniej od kilku lat, coraz mocniej słyszalne są głosy ekonomistów krytykujących euro, wskazujących wręcz na fiasko tego projektu i ostrzegających przed niebezpieczeństwami, które wspólna waluta niesie dla Europy. Podnoszone są bynajmniej nie tylko w środowiskach „unisceptycznych", ale i wśród osób, które nie ukrywają swojego euroentuzjazmu i krytykują euro, postrzegając je jako jedno z głównych niebezpieczeństw dla procesu europejskiej integracji. Generalnie wychodzą oni z założenia, iż nieudany, ich zdaniem, projekt euro zagraża zasadniczo udanej integracji europejskiej. Ten punkt widzenia prezentują chociażby amerykańscy nobliści w dziedzinie ekonomii Joseph E. Stiglitz (książka *Euro. W jaki sposób wspólna waluta zagraża przyszłości Europy*, 2016) czy Paul Krugman (*Annoying Euro Apologetics*, „New York Times", 22.07.2015), na gruncie polskim zaś Stefan Kawalec i Ernest Pytlarczyk autorzy książki *Paradoks euro. Jak wyjść z pułapki wspólnej waluty?*, (2016). Pierwszy z nich to współtwórca „planu Balcerowicza" i wiceminister finansów w kilku rządach w latach 1991–1994, drugi natomiast to od 2010 r. główny ekonomista BRE Banku/mBanku, na którym to stanowisku zastąpił Ryszarda Petru. Zarówno Kawalec, jak i Pytlarczyk byli zresztą jedynymi pochodzącymi z naszego kraju sygnatariuszami *Manifestu Solidarności Europejskiej* (*European Solidarity Manifesto)* z 2013 r., w którym wskazywano, iż kontrolowana dekompozycja eurostrefy stanowi najlepsze rozwiązanie dla ocalenia UE i najcenniejszych wartości europejskiej integracji.

> Wszyscy wymienieni przeze mnie autorzy absolutnie nie są przeciwnikami integracji europejskiej. Na kartach swoich książek zarówno Stiglitz, jak i Kawalec z Pytlarczykiem dowodzą dobroczynnego wpływu wdrażania kolejnych etapów zacieśniania współpracy gospodarczej, począwszy od wspólnego rynku węgla i stali, przez unię celną, na wspólnym rynku kończąc. Dla autorów *Paradoksu euro* szczytowy moment współpracy ekonomicznej w Europie stanowiło powstanie wspólnego rynku. Natomiast kolejny etap integracji, czyli unia gospodarcza i walutowa, jest już oceniana zdecydowanie negatywnie, z tego powodu, iż ich zdaniem wprowadzenie euro przyniosło dla projektu europejskiego liczne negatywne konsekwencje i ryzyka.

Euro a kryzys gospodarczy

Prawdziwym testem dla wspólnej waluty europejskiej okazał się światowy kryzys finansowy, który rozpoczął się w USA w 2008 r. Na tym przykładzie wzmiankowani autorzy niezbicie wykazują, że z kryzysem lepiej radziły sobie kraje UE posiadające waluty narodowe. Podobnie twierdzi Stiglitz, za główną hipotezę jego książki można uznać przekonanie, iż wprowadzenie wspólnej waluty w Europie obniżyło zdolność krajów eurostrefy do reagowania na zmieniające się warunki w światowej gospodarce spowodowane głównie kryzysem finansowym oraz ekspansją Chin.

> Gdyby Grecja miała własną walutę, mogłaby w reakcji na kryzys doprowadzić do jej dewaluacji, co stanowiłoby atrakcyjną zachętę dla turystów. W Grecji byłoby po prostu taniej, dzięki czemu dochód narodowy szybko by się zwiększył. Korekta kursu walutowego mogłaby mieć też na celu zniechęcenie do importu oraz mogłaby wpłynąć dodatnio na eksport, Grecja bowiem cierpiała na deficyt bilansu płatniczego, importowała więcej, niż produkowała. Wreszcie Bank Centralny mógłby obniżyć stopy procentowe (czyli zrobić coś odwrotnego niż uczynił Europejski Bank Centralny).

Kawalec z Pytlarczykiem przypominają, iż złoty doświadczył 30-procentowej deprecjacji między jesienią 2008 r. a wiosną 2009 r., dzięki czemu saldo polskiego handlu zagranicznego poprawiło się o 3% PKB. Natomiast Grecja i inne kraje południa strefy euro nie dysponowały instrumentem dostosowawczym w postaci kursu walutowego. W związku z tym konkurencyjność swoich gospodarek próbowały poprawić na drodze wymuszania nominalnego spadku płac, świadczeń i cen. Narzędziem polityki mającej temu służyć było obniżenie wydatków budżetowych i podniesienie podatków lub restrykcyjna polityka monetarna. Taka zresztą była też wiodąca narracja propagowana przez kraje wielkiej Trójki na czele z Niemcami, szukali oni przyczyn kryzysu właśnie w mało elastycznych rynkach pracy funkcjonujących w poszczególnych krajach, skłonności do korupcji, marnotrawstwie, czy nawet wrodzonym lenistwie.

Tego rodzaju diagnoza powodowała, iż remedium na kłopoty miała być przede wszystkim zmiana struktury gospodarczej krajów, które najmocniej dotknął kryzys. Polegało to z grubsza na osłabieniu roli związków zawodowych, zmianie prawa pracy czy systemu podatkowego. Jak przytomnie jednak wskazuje Stiglitz, jeśli czynniki miałyby być źródłem kłopotów takich krajów jak Grecja, to ich stan gospodar-

czy powinien być równie katastrofalny przed kryzysem, jak po nim. Tymczasem przed kryzysem Grecja, Hiszpania, Irlandia, Portugalia czy Włochy notowały wzrost, czasami nawet powyżej średniej w strefie euro. Wedle amerykańskiego noblisty projekt wspólnej waluty w Europie od początku skazany był na niepowodzenie z kilku względów, przede wszystkim Europa stanowi zbyt zróżnicowany organizm, aby w prosty sposób można było tego rodzaju rozwiązania łatwo wprowadzić. Oczywiście kontrprzykładem w takim wypadku będą Stany Zjednoczone obejmujące obszar dwukrotnie większy niż kraje UE, dodatkowo również przecież mocno zróżnicowany pod względem gospodarczym, klimatycznym, kulturowym czy bogactwa. Jednakowoż w przypadku USA, jak wskazuje autor, wprowadzono określone instytucje umożliwiające istnienie wspólnej waluty, o które nie zadbano w Europie. Po pierwsze, jeśli jakiś stan amerykański przechodzi gospodarcze trudności, dokonuje się migracja z tych terenów, która nie stwarza żadnych problemów. Na terenie całego USA obowiązuje bowiem ten sam język, podstawowe programy społeczne takie jak Social Security czy Medicare mają zaś zasięg ogólnokrajowy.

W Europie pod tym względem mamy do czynienia z barierami językowymi, kulturowymi oraz problemami odnośnie prawa do wykonywania zawodu. Kolejny mechanizm to pomoc od rządu federalnego dla stanu, który popadnie w kłopoty finansowe w postaci takich programów, jak Medicaid, Medicare czy SNAP, w czasach kryzysu rząd federalny bierze na swoje barki dużą część kosztów związanych z bezrobociem. Tymczasem w Europie, jeśli jakiś kraj popadnie w tarapaty, lokalny rząd mimo spadających przychodów, musi dodatkowo znaleźć środki na świadczenia socjalne. Ponadto rząd federalny może udzielić bezpośredniej pomocy finansowej takiemu stanowi, podczas gdy europejski budżet na poziomie centralnym jest mikroskopijny i nie zawiera tego rodzaju funduszy (budżet Unii to ok. 1% jej PKB, budżet władz federalnych w USA wynosi zaś 20% PKB). Kawalec z Pytlarczykiem zastanawiając się zresztą nad zasadnością, postulowanego tu i ówdzie, zwiększenia unijnego budżetu ponad owo 1% i stworzenia unii fiskalnej, co miałoby stanowić skuteczny instrument poprawy konkurencyjności niektórych krajów UE, oceniają ten pomysł zdecydowanie negatywnie. Wskazują bowiem na nieskuteczność transferów z regionów bogatszych do biedniejszych. Ilustrują to przykładami wschodnich Niemiec, których udział w PKB Niemiec nie rośnie od 1994 r. i wynosi zaledwie 11%, oraz południowych Włoch, gdzie od 40 lat PKB mieszkańca tego obszaru nie przekracza 65% poziomu reszty kraju. Wszystko to, pomimo że w tym czasie wpompowane zostały w te regiony gigantyczne sumy pieniędzy.

CZYTAJ TAKŻE: Quo vadis, Unio Europejska?

Polityka deflacyjna, do której w czasie kryzysu musiały uciekać się kraje południa Europy, jak podkreślają zgodnie wzmiankowani tutaj autorzy, jest nie tylko mniej skuteczna, ale przede wszystkim bardziej kosztowna ekonomicznie i społecznie niż przywracanie konkurencyjności z wykorzystaniem kursu walutowego. Osłabienie waluty daje natomiast efekt natychmiastowy i powszechny, tzn. powoduje automatyczną obniżkę płac i poprawę konkurencyjności, co sprzyja wzrostowi produkcji krajowej. Pakiety pomocowe, które narzucono krajom najbardziej pogrążonym w kryzysie, tylko go pogłębiły, dodatkowo osłabiając jedność, o którą przez lata w Europie walczono. Pomimo tego, wbrew liczbom i faktom, obwieszczono sukces tej polityki. Stiglitz przedstawia szczegółowo założenia pakietów pomocowych i skutki, jakie one przyniosły przede wszystkim na przykładzie Grecji, co nie może dziwić w związku z jego zaangażowaniem w pomoc rządowi tego kraju. Jednakże oczywiście można to ekstrapolować również na inne państwa, w rodzaju Hiszpanii czy Portugalii.

Bezpośrednim celem programów pomocowych było doprowadzenie do stanu, w którym kraje nie musia-

łyby się już dalej zadłużać. Uznano, iż zostanie to zapewnione dzięki zmniejszeniu wydatków wraz z jednoczesnym podniesieniem podatków. Jednakże, jak można było się spodziewać, polityka cięć doprowadziła do spowolnienia gospodarczego, które zaowocowało mniejszymi wpływami budżetowymi i zwiększeniem środków przeznaczanych dla rosnącej liczby bezrobotnych oraz na sferę socjalną. W efekcie, jak konkluduje autor, pakiety pomocowe pomogły jedynie europejskim bankom, które zaczęły ściągać długi od państw pogrążonych w kryzysie, w żaden sposób natomiast nie przyczyniły się do poprawy kondycji gospodarczej tych krajów. Można powiedzieć, iż w równym stopniu przysłużyły się transnarodowym korporacjom, których zyski powiększyły się kosztem rodzimych przedsiębiorstw (taki charakter miały wprowadzone w Grecji regulacje dotyczące mleka, bochenków chleba, handlu lekami, długości otwarcia sklepów). Pod różnymi górnolotnymi hasłami kryła się tak naprawdę chęć zapewnienia międzynarodowym sieciom handlowym dostępu do greckiego rynku. W momencie, kiedy bezrobocie wśród młodych w Grecji przekroczyło 60%, debatowano nad tym, ile może ważyć chleb lub jak stare może być mleko, żeby można je nazywać ciągle „świeżym". Programy narzucone przez strefę euro zakończyły się sukcesem w jednym znaczeniu, jak stwierdza nie bez sarkazmu Stiglitz, francuskie i niemieckie banki odzyskały swoje pieniądze. Fakt, iż kraje europejskie zadłużały się we własnej walucie, nad którą nie miały żadnej kontroli, doprowadził też do tego, że dokonał się transfer władzy, która zaczęła być nadużywana, a unia walutowa ze związku równych państw podejmujących wspólne decyzje i wspólny wysiłek, przemieniła się w agencję ściągającą długi na rzecz bogatych krajów, na czele z Niemcami. Kraje, które znalazły się w tarapatach finansowych, nie mogły już po prostu dodrukować pieniądza i wypuścić go na rynek, nie miały bowiem żadnej kontroli nad własną walutą.

Co dalej?

Zdaniem Kawalca i Pytlarczyka, tak jak należy się pogodzić z wielością języków krajów unijnych, co przecież komplikuje komunikację, tak należałoby zaakceptować utrudnienia i koszty związane z powrotem do walut narodowych. W związku z tym postulują oni kontrolowaną dekompozycję strefy euro. Wszystkie kraje miałyby powrócić do walut narodowych bądź też wspólnych walut dla bardziej jednorodnych grup państw w ciągu 3–4 lat. W przypadku naszego kraju opowiadają się za utrzymaniem członkostwa Polski w UE przy możliwie długim odkładaniu momentu zamiany złotego na euro, co *de facto* oznacza rezygnację z członkostwa w strefie euro. Stiglitz zarysowuje trzy alternatywy dla istniejącego stanu rzeczy, który charakteryzuje się wedle niego podejściem „jakoś to będzie". Najlepszym wyjściem byłaby gruntowna naprawa istniejącego systemu w oparciu o hasło „więcej Europy", jest to jednak w jego opinii scenariusz najmniej realny. Euro bowiem można, jego zdaniem, uratować, ale nie za wszelką cenę, nie jeśli kosztem mają być recesje, załamania gospodarcze, rosnące nierówności i wysokie bezrobocie. Należy jednak wprowadzić kilka zasadniczych zmian, jeżeli chodzi o najważniejsze zasady rządzenia strefą euro, jak i podstawy gospodarcze, na których się opiera. Każdą z nich omawia on szczegółowo, wskazując, w jaki sposób winna być wdrażana i w oparciu o jakie zasady powinna funkcjonować. Są to: unia bankowa zakładająca wspólne ubezpieczenie depozytów i te same procedury dla wszystkich; uwspólnienie długu zapobiegające nadmiernym przepływom na rynku pracy, w dobie powszechnej mobilności wiązanie zadłużenia z konkretnym miejscem, jak pisze, wydaje się bezsensowne; wprowadzenie wspólnych ram dla stabilności będących gwarantem dobrobytu na całym kontynencie (stworzenie funduszu solidarnościowego, stabilizacja polityki fiskalnej, regulacje zapobiegające ekscesom w rodzaju „baniek spekulacyjnych" itp.); rzeczywista polityka spójności (zniechęcanie do posiadania nadwyżek przez państwa w strefie euro, rozwój infrastruktury publicznej w rejonach zapóźnionych itp.); promocja pełnego zatrudnienia i poli-

tyki wzrostu w całej Europie; mocniejsze zaangażowanie na rzecz dobra wspólnego wyrażające się m.in. przesunięciem o wiele większej odpowiedzialności za redystrybucję na szczebel unijny czy określonemu opodatkowaniu na poziomie Unii wszystkich dochodów powyżej pewnego progu, np. 250 tys. euro rocznie. Drugie wyjście to rozwód, trzecie wyjście nazwane zostało mianem „elastycznego euro". Jest to koncepcja bazująca na dotychczasowych osiągnięciach unii monetarnej i wykorzystująca je. Zakłada ona istnienie systemu, w którym państwa lub grupy państw będą posiadały własne euro o zmiennych wartościach.

Fot. Pixabay

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/co-z-tym-euro/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć